TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50

DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 29. *Chicago, Ills., 14 Stycznia, 1886 r.* Rok II.

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO

CZĘŚĆ PIERWSZA:

ZAMEK CARROW.

(Ciąg dalszy.)

— Niech tak będzie, — rzekł mu, odzyskasz tę posadę, której tak pragniesz.

— A złoto?

— Zostanie ci wypłacone najsumienniej co do grosza, skoro je zarobisz! — odrzekł Miran z pogardą. Był on jedną z tych istot dziwnie sprzecznych w swych wadach i zaletach, które namiętność może do zbrodni popchnąć, ale które nigdy do podłości się nie poniżą.

— Czy masz jeszcze sposób wejścia do starego pawilonu na końcu zwierzyńca? — zapytał zbójcę.

Sideler dał twierdzącą odpowiedź. Mógł wejść nie tylko do belwederu, zkąd zwykle zabierał listy, które ayah pisywała do Mirana, ale jeżeliby zaszła potrzeba, dostałby się także do wnętrza Opactwa.

— Spuść się pan tylko na mnie, — dodał. — Tak już długo zastanawiałem się nad tem, co pan żądasz obecnie, żem obliczył wszystkie możliwe środki.

— A dla czegoż nie wykonałeś tego dotychczas?

— Brakowało mi dwóch pobudek: ostatniej

zniewagi i nagrody! Pan nastręczasz jedną, a sir William drugą!

Znowu Miran-Hafaz wetknął sakiewkę w rękę złoczyńcy, któremu oczy zabłyszczały jak u drapieżnego zwierzęcia.

— Za kilka dni, — szepnął. — zgłoszę się do pana... usłyszysz wieści, które w całej okolicy rozgłos mieć będą!

XXXVII.

Od dnia wyjazdu naszych młodych podróżnych, ponury smutek owładnął mieszkańców zamku Carrow; słudzy nawet ulegli jego mroźnemu wpływowi. Zdawało się, jakby promyk słoneczny, zawitawszy na czas jakiś w mury starego zamczyska, nagle znikł na nowo. Nieobecność Henryka Ashton i Waltera Mowbray, których krótki pobyt dodał nieco życia i wesołości temu posępnemu siedlisku, czyniła je teraz jeszcze bardziej osamotnionem. Jest to udziałem młodości, że wszystkiemu co ją otacza, dodaje odblasku swych złotych marzeń i nadziei kwiecistych; jeżeli starość nie może już z nich korzystać, to przynajmniej doznaje współczucia dla młodych, w których, niby w zwierciadle, widzi odbicie swych uciech i rozkoszy minionych.

Biedna Ellena! to rozłączenie z ukochanym Henrykiem było pierwszem zmartwieniem od czasu śmierci jej rodziców a serce jej omdlewało jak wątły kwiatek, pozbawiony rosy, któraby odświeżyło jego listki i dodała im nowej krasy i woni.

Ileż to razy przypominała sobie każde słowo, które wymówił, każde spojrzenie, jakie na nią rzucił, przechadzając się z nią nad brzegami jeziora, albo kiedy siedząc na wezgłowiach u nóg jej w wielkiej bawialnej komnacie, czytał głośno utwór którego z ulubionych poetów, zatrzymując się za każdym wierszem, aby brać udział w przyjemności, jaką ona w tem znajdowała, aby spojrzeć w jej oczy i widzieć nagrodę swego czytania we łzie wymownej czułości, która drżała na długich rzęsach jej powiek, spuszczonych ku niemu.

Wszelako boleść młodej kochanki nie była pozbawioną nadziei pocieszającej. — On powróci! — powtarzała sobie nieustannie, a serce jej silniej uderzało na to wspomnienie, w którem czerpała odwagę potrzebną, by pokonać tęsknotę jaka ją dręczyła.

Jeżeli niekiedy przychodziło jej na myśl, że w tej rozkosznej krainie Henryk może spotkać dziewicę, która mu się wyda godniejszą jego miłości niż Ellena, odpychała te podszepty jako zdradę przeciw oddalonemu, i powtarzała w duchu obietnice stałości i wierności, które sobie obopólnie złożyli.

Słusznie powiedział ów wieszcz w starożytności: Bóg jest miłością, bo hartuje najsłabszą duszę, udzielając jej siły i cierpliwości, naucza serce, aby wierzyło wbrew rozumowi, aby ufało pomimo zwątpienia, przepełnia je obfitszą harmonią i uczy lepiej cenić piękność przyrody. Nigdy tkliwość nie jest silniej wzbudzona, jak wtedy, gdy ulegamy rozkosznemu wrażeniu uroku, jakim zaś stwórca otoczył. Miłość jest duszą wszechświata, bez niej świat byłby martwą pustynią, życie męczarnią, a nie rozkoszą.

Miłość ma swoje cierpienia, jak wiosna ulewy i nawałnice, bez których uczucie zeschłyby jak kwiaty, przy zbytnim skwarze słońca.

Skutek, jaki wyjazd młodych ludzi na wszystkich mieszkańców Carrowa wywarł, nie mniej widoczny był w sir Williamie. Stał się znowu ponury i milczący, zamykał się w swojej bibliotece, by się oddawać własnym dumaniom, lub szukać zapomnienia, pogrążając się w czytaniu rozmyślań obcych, nigdy uśmiech nie rozweselił jego oblicza, chyba wtedy, gdy go Ellena odwiedziła; natenczas przez miłość dla niej, usiłował przybrać godniejszy humor.

Niejednokrotnie serce jego szlachetne wyrzucało mu jako czyn samolubstwa, że pozwolił na wyjazd jej narzeczonego, tak dalece był sumienny w rozbieraniu własnych swoich uczuć, a pełen pobłażania dla drugich. Co się zaś tyczy starego Marcina, piwniczy i mistress Jarmy zauważyli, że zrobił się jeszcze bardziej pochmurny i milczący, niż był wprzódy, słowa zeń już wydobyć trudno było. Zaledwie zjadl z nimi objad lub wieczerzę, zaraz uciekał do swej ulubionej stajni, a często po nocach błąkał się w koło zamku i w parku.

Kitty, najmłodsza ze służebnych niewiast, która w oczach reszty domowników za wielce roztrzepaną uchodziła, mając dopiero czterdzieści cztery lat wieku swego, twierdziła, że Marcin miał umysł przytępiony; a Nicholls, stary piwniczy, był tego samego zdania, choć je wynurzyć nie śmiał. Tylko jedna ayah zdawała się uradowaną z odjazdu obu młodzieńców. W jej czarnych oczach i w całej fizyonomii przebijało się jakieś szyderstwo, kiedy słyszała żale i ubole-

wania tych, co ją otaczali; zacna ochmistrzyni była tem głęboko urażona, i nie raz oświadczała, że Indyanka wygląda jak zły duch, cieszący się zniszczeniem, którego dokonał.

Podobnież myślał Marcin, ale nie wyrażał tak otwarcie swego zdania. Wszelako ci, co dobrze znali usposobienie starego, nie mogli powątpiewać, że miał widoczną antypatyę do Zary, której postępowanie śledził od kilku tygodni.

Ellena została dłużej niż zwykle w bibliotece, rozmawiając z wujem, który wydawał się coraz posępniejszy. Powoli uczucia młodej dziewczyny nastroiły się do usposobienia sir Williama, gdy słuchała jak swym głosem dźwięcznym i poważnym o przyszłości rozprawiał. Póki mówił o niej i Henryku, wyrażał się pełen nadziei i obietnic, lecz skoro mowę do siebie stosował, wtedy myśli jego napiętnowane były smutkiem, chociaż bez obawy.

— Możesz się bawić marzeniem, droga Elleno, — powiedział jej, — bo wiele chwil jasnych i błogich czeka cię w życiu; powątpiewać o tem, i starać się niszczyć nasze zaufanie w cnocie, byłoby to oskarżać dobroć Opatrzności! Ja nie dożyję tego, aby być świadkiem waszego szczęścia, lecz jeżeli wolno zmarłym powracać w postaci duchów na ziemię, mój duch czuwać będzie nad wami i waszą radość podzielać.

— Nie mów o śmierci! — zawołała Ellena, zarzucając ramiona na szyję wuja z dziecięcem przywiązaniem, i wpatrując się z niewinną ufnością w jego szlachetne oblicze, w te piękne rysy więcej od zgryzot niż długich lat postarzałe. — Dla czegoż te smutne przewidywania?

— Nie mogę się ich pozbyć; ścigają mnie jak mój cień, napróżno walczę, by się im oprzeć; bywają sympatye i przeczucia, które wytłumaczyć trudno. Czy ci nie wiadomo, że Umfreville Mowbray, jeden z naszych naddziadów, przepowiedział śmierć swoją w przededniu bitwy pod Bosworth?

— Ale ty nie jesteś w przededniu bojów, — odrzekła Ellena, usiłując zdobyć się na uśmiech; — on szedł na pole walki strasznej gdzie wielu miało życie położyć, gdzie potoki krwi spłynąć miały...

— Nie mogę tego rozumem udowodnić, tylko mówię co czuję. Od kilku dni przygnębiają mnie te złowrogie domysły. Jeżeli ci o nich wspomniałem, nie myśl, że uczyniłem to w skutek słabostki i lękliwości; o, wcale nie! ale chciałbym, byś mogła niejako być przygotowaną na stratę tego, co cię kochał jak własną córkę.

Sierota pochyliła główkę, jak kwiat zbyt skropiony rosą pochyla się na łodydze,

— Przedsięwziąłem wszelkie możliwe środki ostrożności dla zapewnienia twego szczęścia, — mówił dalej baronet, — żaden surowy opiekun nie stanie pomiędzy Henrykiem a tobą, kiedy mój zgon nastąpi. W testamencie moim wyraźnie zostawiłem zezwolenie bez żadnego warunku i zastrzeżenia, na twój związek z młodym Ashtonem.

Dziewica zbyt była wzruszoną, aby co odpowiedzieć mogła. Rozpłakała się i przytuliła twarzyczkę do swego przybranego ojca.

W tem zegar wieży zamkowej uderzył pierwszą godzinę po północy.

— Tak już późno! — zawołał sir William z zadziwieniem i zadzwonił, by który z domowników przyszedł odprowadzić Ellenę do jej komnat. — Dobranoc, kochane dziecię; czas tak upływa szybko na rozmowie z tymi, którzy nam są drodzy, iż nie spostrzegłem nawet, że pora tak spóźniona!

I wysunął się lekko z jej objęć i pocałował ją w czoło.

Potem zadzwonił powtórnie; czekał chwilę ale nikt się nie zjawił.

— Już się widać wszyscy pokładli, — rzekł. — Mniejsza o to! Odprowadzę cię sam do końca galeryi.

Ellena nie chciała zezwolić, aby wuj wychodził z biblioteki. Wiadomo jej było, jak nie lubił przechodzić przez tę salę, gdzie był zasłoniony portret jego wiarołomnej małżonki. Nie czuła żadnej obawy dziecinnej ani przesądnej, i nie przyjęła stanowczo jego uprzejmości.

— Żartujesz ze mnie, wujaszku! — rzekła biorąc jedną ze świec stojących na stole. — Czegożbym się bać miała? Przeszłabym przez galeryę wśród ciemnej nocy tak śmiało, jak w biały dzień. Nie jestem przecież dzieckiem, któreby się lękało własnego cienia.

Sir William uśmiechnął się smutnie, domyślając się powodu, dla czego siostrzenica nie przyjęła jego towarzystwa, i raz jeszcze życzył jej dobrej nocy.

Ellena wyszła do wielkiej sali, gdzie jeszcze lampa płonęła, potem wyszedłszy na górę po

dębowych schodach, udała się korytarzem północnym, który wiódł do galeryi portretów. W chwili, kiedy te drzwi otworzyła, przeciąg powietrza zagasił jej świecę. Zatrzymała się chwilkę, i przypominając sobie nagle, że sama zostawiła jedno okno otwarte, wstydziła się tej chwili wahania.

— Potrzeba mi tylko przejść prosto, aby się dostać do mojego pokoju, — rzekła sama do siebie; Zara już musiała się znudzić czekając na mnie tak długo.

Tak dobrze oznajmiona była z miejscowością, że z zawiązanemi oczyma byłaby trafiła. Minęła większą połowę galeryi, gdy dźwięk słaby, a potem lekki szelest doszedł jej ucha. Zrazu sądziła, że ją mami wyobraźnia, ale łoskot ten powtórzył się. Nie zwalniając kroku, zwróciła głowę w tę stronę, zkąd ją dochodziły te dźwięki, i ujrzała wyraźnie coś ciemnego skulonego tuż obok wielkiej szafy japońskiej, i dwoje oczu świecących jak u tygrysa w ciemnościach na nią wytrzeszczonych.

Jakże serce w sierocie bić zaczęło gwałtownie! prawie słyszeć mogła jego uderzenie. Jednak nie wahała się dłużej, nie wydała krzyku, chociaż usłyszenie własnego głosu byłoby dla niej ulgą. Przypomniała sobie wyrazy, przeczucia złowieszcze wuja, a przywiązanie ku niemu natchnęło ją rozpaczliwą odwagą. Szła dalej w milczeniu, aż się zbliżyła do drzwi w końcu galeryi. Ale kładąc rękę na klamce drżała tak silnie, że jej pocisnąć nie mogła. Na domiar przerażenia wydało się jej, że słyszy lekkie stąpanie za sobą.

— Któż to drzwi na klucz zamknął?! — zawołała.

Te słowa były jej ocaleniem... kroki się wstrzymywały.

Chwytając wtedy klamkę z największem wysileniem, udało się jej pocisnąć ją wreszcie, i weszła do drugiego korytarza, za którym jej pokój się znajdował.

— Przynieś mi świecę, Zaro! — zawołała głosem silnym, — bo moja zagasła.

W mgnieniu oka otwarły się drzwi jej pokoju, ayah pokazała się ze świecą w ręku.

Mimo swojego charakteru złośliwego i przewrotnego, Indyanka miłowała Ellenę z taką czułością i poświęceniem, jakie miała dla Miran-Hafaza; i ujrzawszy drżące usta, zbladłe lica i wzrok przestraszony swojej młodej pani, spytała ją troskliwie, co się stało?

Na szczęście wyrzekła to po indyjsku.

— Cyt! ani słowa! — odparła Ellena w tem samem narzeczu. — Jakiś zbójca jest w galeryi; widziałam wzrok jego dziko na mnie wytrzeszczony.

Ayah wydobyła długi sztylet połyskujący z pod fałdów swojej odzieży i z szybkością stanęła między Elleną a wchodem do galeryi.

W tej chwili była prawdziwie piękną tem poświęceniem; oburzona jak lwica broniąca swoje zagrożone potomstwo, z nozdrzami rozdętemi od gniewu, ściskając w ręku broń, której dobrze używać umiała.

— Nie obawiaj się niczego, — szepnęła, — musianoby wszystką krew moją wytoczyć, nimby cię tylko tknąć śmiano.

— To nie moje życie jest w niebezpieczeństwie, — odpowiedziała sierota, — ale inne, daleko od mego cenniejsze!

— Czyjeż to? zapytała Zara zdziwiona.

— Życie mojego wuja, mojego ukochanego opiekuna!

Postawa mamki zmieniła się natychmiast; musiała wiedzieć kto był ów zbójca.

— To złudzenie twojej wyobraźni — rzekła zimno, — jakież niebezpieczeństwo może grozić twojemu wujowi w jego własnym domu? Chodź do twojego pokoju.

— Ja muszę zejść do biblioteki! — rzekła Ellena stanowczo.

— Szalona jesteś! śni ci się!

Napróżno błagała Zarę by jej towarzyszyła; ta kobieta nie wierzyła, aby jakie nieszczęście groziło baronetowi. Zniecierpliwiona Ellena wyrwała jej nagle z rąk świecznik i sztylet; tak uzbrojona poczciwa dziewczyna już się niczego nie bała.

— Zostań — rzekła rozkazująco. — Mogę zejść sama.

I nie czekając odpowiedzi, znikła na schodach prowadzących do mieszkania służących.

— Muszę pójść za nią! — mruknęła ayah z gniewem. — Gdyby ten człowiek, którego się domyślam, spotkał Ellenę, moja obecność ją obroni.

Już miała schodzić, gdy drzwi od galeryi otworzyły się, i człowiek jakiś zaglądnął ostrożnie na korytarz.

— Cyt Zaro... Zaro czy jesteś tu? — przemówił cicho.

Był to Will Sideler.

— Ty tutaj! — zawołała Indyanka z niecierpliwością, — uciekaj natychmiast nie wiesz, że jesteś odkryty?

— Nic nie szkodzi!

— Że wszyscy się wkrótce pobudzą i zbiegną do sali?

— Wiem gdzie się ukryć; zresztą zamknąłem drzwi na drugim końcu galeryi. Głupiec ze mnie, żem się dał uwieść podstępem tej dziewczyny. Gdybym był wiedział z pewnością że mnie zobaczyła, byłbym ją zadusił.

— Zadusił! — powtórzyła ayah ze zgrozą.

— Tak jest... bez wahania.

— Szaleńcze! wszak to ta, którą karmiłam własnemi piersiami, którą Miran ceni wyżej niż wszystkie swoje skarby... A on przecież bogaty, nawet w krainie książąt. Gdybyś się był dotknął jednego włoska jej głowy, Miran Hafaz byłby wynalazł najsroższe męczarnie na karę dla ciebie!

Will Sideler wydał ryk przeciągły jakby winszując sobie, że nie popełnił tak grubej omyłki.

— Teraz się oddal, — dodała ayah — a na przyszłość bądź ostrożniejszy. Pamiętaj o tem, że Miran jest równie strasznym dla tych, których nienawidzi, jak wspaniałomyślnym, dla tych, którzy mu wiernie służą!

— Nie potrzebuję twojej przestrogi. W tej sprawie mógłbym mu usłużyć dla samej przyjemności, jakiej ztąd doznam.

— A to w jaki sposób?

— Nienawidzę sir Williama Mowbray!

Piastunka uśmiechnęła się.

— Uśmiechasz się; czy może powątpiewasz o tem, co mówię?

— Nie.

— A dla czegoż?

— Bo widzę, że nie jesteś istotą tak podłą i przedajną, jak to sobie wyobrażałam.

XXXVIII.

Sir William Mowbray siedział spokojnie w bibliotece, czytając któregoś ze swoich ulubionych autorów, gdy drzwi raptownie się otwarły i weszła Elena trzymając jeszcze puginał wydarty z rąk piastunki. Twarz jej pobladła z przerażenia; jej bujne włosy, roztoczyły się po jej ramionach, osłaniając niby płaszczem jej wiotką kibić. Baronet drgnął za zbliżeniem się siostrzenicy, która rzuciła się w jego objęcia z okrzykiem:

— Jesteś zdrów i żywy, ach dzięki Bogu, mój wuju drogi!

I pochyliwszy głowę u szyi jego, wybuchnęła głośnem łkaniem i rzewnym płaczem.

— Zdrów jestem! bez wątpienia. Ale cóż to cię tak zaniepokoiło, drogie dziecię?

Głosem przerywanym łzami i wzdychaniem, opowiedziała mu sierota przygodę w galeryi, swój przestrach i ucieczkę.

— To dziwne! — rzekł baronet zamyślony, — tylko jednego znam wroga na świecie, ale ten daleko od Anglii przebywa. Twoje urojenie musiało ci figla wypłatać.

— To nie było widmem, — odrzekła panienka oglądając się jeszcze z przerażeniem, jakby się spodziewała ujrzeć znowu te dzikie i ogniste oczy. — Widziałam... widziałam go wyraźnie, skulonego jak tygrys, gdy się ma rzucić na zdobycz. Słyszałam jego chód skradający się na posadzce, a odgłos tych kroków zapowiadał skrytobójstwo kryjące się w ciemnościach nocy; czułam jego oddech gorący nad mojem ramieniem, to tchnienie, które wlało przestrach w moją duszę i serce. Wuju! — dodała przytulając się do niego, jakby dla bronienia go przed puginałem mordercy, — drogi wuju! zbudź domowników, niech wszędzie przetrząsają, jestem pewna, że ktoś obcy skrył się w zamku. Zaufaj natchnieniu serca, które cię kocha, nie gardź ostrzeżeniem twojej Elleny!

Chociaż sir William wcale nie był przekonany, widząc jednak, że jej przerażenie było istotnie wielkie, postanowił usłuchać jej prośby. Zdejmując z pomiędzy trofeów zbroi wiszących na ścianie, starą szpadę, której używał jeden z jego pradziadów w czasach domowych wojen, wziął drugą ręką świecę ze stołu i zabierał się wyjść z biblioteki.

— Gdzie idziesz, wujaszku? — zapytała Ellena.

— Do galeryi portretów, moje dziecię.

— Nie, nie... tylko nie tam, jeżeli mnie kochasz. Dzwon, dzwon wielki! ach czemużem prędzej o tem nie pamiętała?

Natychmiast zadzwoniono na gwałt, i w kilka minut zebrała się służba w wielkiej sali. Piwniczy Nicholls, ochmistrzyni, stary Marcin i ayah przybiegli najpierwsi.

— Kto z was był w galeryi portretów? — zapytał baronet, skoro się cały dwór zgromadził,

Każdy z domowników zaprzeczył; nie mieli powodu oszukiwać swojego pana, którego pobłażliwość była aż nazbyt dobrze znana i baronet zaczynał wierzyć, że Ellena miała słuszność.

— Waszą młodą panię przetraszył jakiś człowiek, który się tam ukrywał. Jeżeli który z was dla jakiejbądź przyczyny znajdował się w galeryi o tak spóźnionej godzinie, niechże się przyzna, wszak to w żadnym razie nie jest jeszcze występkiem, i daruję tę winę.

Słudzy powtórnie dali odpowiedź przeczącą.

Zara odezwała się twierdząc, że Ellena uległa tylko urojeniu swojej wyobraźni.

— W dzieciństwie przestraszyła się mocno węża, — dodała, — i od tego czasu zawsze była niezmiernie skłonną do przerażenia się lada czego.

— Niezawodnie, droga Elleno, — przemówił baronet z uśmiechem, — stałaś się ofiarą płonnego urojenia.

Panienka pokręciła głową.

— A może też pod wpływem spóźnionej godziny, — dodał baronet.

Dziewczę nie dało się jeszcze przekonać.

— Albo wiatr, który ci świecę zagasił?

— Wszystko to nie zdoła mnie przekonać wbrew świadectwu mojego wzroku i słuchu, kochany wujaszku. Ja się nie omyliłam; wyobraźnia nie mogłaby mi przedstawić oczu tak dzikich, które na mnie patrzały, tego chodu skradającego się jak u tygrysa krwi spragnionego, ani tego tchnienia palącego, które uczułam na ramieniu; nie, nie!

-- Wszak cały dwór jest tu zebrany, — rzekła ayah.

— To nie był żaden z domowych, — odpowiedziała Ellena.

— A Indyanka dobrze wie o tem, — odezwał się Marcin, słuchający bacznie mowy piastunki. — Jej pobyt tutaj nie ma nic dobrego na celu, Widziałem ją często wśród nocy włóczącą się po zamku jak duch nieczysty; jeżeli stanie się jakie nieszczęście, ona z pewnością do tego się przyczyni.

Zara wyprostowała swoją smukłą postać i utkwiła w sędziwego sługę wzrok tak ognisty i groźny, że najbliżej niej stojący cofnęli się z przestrachem; oczy jej iskrzyły się jak u rozdraźnionego grzechotnika lub straszniejszego jeszcze kobry.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

ZEBRAK, SPRYTNY OSZUST.

W pięknej okolicy nad Narwią mieszkał bogaty młynarz, który miał syna imieniem Mateuszka i żonę Małgorzatę. Ponieważ młynarzowi wiodło się dobrze i za miarki pobierane w zapłacie od mielenia zboża zbierał grube pieniądze, postanowił nic nie szczędzić dla jedynaka. Pieścił go wraz z Małgorzatą, we wszystkiem dogadzał i ulegał kaprysom dziecka, które tymczasem wyglądało bardzo mizernie i ciągle chorowało. Pomimo skończonych lat dziecięcia, Mateuszek nie miał tej zdrowej i czerstwej cery, jaką mają zwykle chłopcy wiejscy. Sąsiedzi nie chcąc martwić młynarza mówili między sobą, że Mateuszek nie przeżyje roku i kłopotali się już, komu młynarz zapisze swój majątek, jeśli nie zostawi po sobie potomstwa.

Przepowiednie sąsiadów sprawdziły się. Ma-

teuszek coraz bardziej zapadał na zdrowiu, pomimo ratunku doktorów skończył jednego dnia życie. Rozpaczał młynarz, ale bardziej jeszcze rozpaczała matka. Trzeciego dnia odbył się wspaniały pogrzeb i według zwyczaju suta stypa pogrzebowa. Pocieszali młynarza i uspokajali sąsiedzi, i ten w kilka tygodni wśród kłopotów i zajęcia zapomniał o dotkliwej dla niego stracie.

Nie tak łatwa była sprawa z młynarką. Ta ile razy wspomniała syna, tyle razy zalewała się łzami. Napróżno perswadowały jej kumy, tłómacząc, że Bóg zabrał jednego, da w to miejsce drugiego syna. Młynarka niczem nie dała się uspokoić.

Tak upłynęło pół roku. Jednego dnia do młynarza przybył żebrak, a przestąpiwszy próg izby wyrzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków — odpowiada krzątając się po izbie młynarka.

— A zkąd to idziecie staruszku?

— Z daleka moja zacna gosposiu — z daleka, bo aż z tamtego świata.

— O! mój Boże! a to tam pewnie spotkaliście mego Mateuszka.

— A jużci że spotkałem. Jakem tu szedł, to pasł świnie przy drodze, kazał was pozdrowić.

— O mój Jezusieńku, to mój syn na drugim świecie świnie paść musi, a w domu ich wcale nie pasał. O ja nieszczęśliwa matka!

I młynarka zaczęła płakać i wyrzekać wiążąc tymczasem węzełki z wiktuałami dla syna. Włożyła także w zawiniątko nową kapotkę i buty, a w płatek zawinęła bitego rubla i włożyła go w kieszeń od kapoty, aby Mateuszek biedy nie cierpiał. Dawszy ze swojej strony dziadowi kawałek słoniny, kiełbasę i złotówkę, młynarka poprosiła go grzecznie, ażeby przyszykowane dla syna zawiniątko oddał Mateuszkowi i uściskał go od matki a żeby jak najprędzej znowu powrócił z wieścią od Mateuszka. Dziad przyrzekł spełnić święcie to polecenie i pożegnawszy się z młynarką, udał się drogą ku lasowi.

Niezadługo potem młynarz powrócił z pola. Młynarka wybiegła do niego na podwórko i z płaczem opowiedziała mężowi o nieszczęśliwym losie ich syna i o tem, co mu posłała przez dziada.

— O ty głupia! — zawołał śmiejąc się młynarz, a toć filut dziad widocznie cię oszukał; w którą stronę on poszedł?

— Prostą drogą ku lasowi — odpowiedziała zafrasowana młynarka.

Młynarz dosiadł konia i pogonił za dziadem. Na środku lasu dognał dziada, a pochwaliwszy Pana Boga wyrzekł:

— Mój staruszku, przytrzymajcieno mojego konia, ja tymczasem urznę pręcik na niego, bo psiawiara bardzo leniwy, a mnie spieszno w drogę.

I zsiadłszy z konia młynarz udał się w las nie po pręcik, tylko po tęgiego dębczaka na dziada. Dziad tymczasem zwąchał pismo nosem, i nie czekając aż młynarz powróci, przewiesił swoje sakwy przez konia wsiadł na niego i puścił się galopem bez użycia nawet pręcika. Młynarz posłyszawszy tętent konia, szybko powrócił na drogę, lecz już dziada i konia widać nie było. Zawstydzony tem, że się tak haniebnie dał złapać, młynarz powrócił z zwieszoną głową do domu.

— A cóż, dogoniłeś go? — zapytała go niecierpliwie Małgorzata.

— A dogoniłem — odrzekł spokojnie młynarz, — i przekonawszy się, że dziad prawdę mówił, posłałem przez niego Mateuszkowi konia, ażeby miał na czem świnie nawracać od szkody.

BRATOBÓJCA.

POWIEŚĆ MORALNA.

— Z CZASÓW —

WIELKORZĄDZTWA ALBY W NIDERLANDACH.

OSNUTA NA PRAWDZIWEM ZDARZENIU.

— NAPISANA PRZEZ —

KS. HEYDUCKIEGO

Kapelana w Weesen, w Szwajcaryi.

Na wieży kościoła świętego Piotra w Gandawie wybiła ósma godzina. Miasto i cała okolica były pogrążone w ciemności i głębokiem milczeniu, a na korytarzach klasztornych dawały się słyszeć już tylko tu i owdzie kroki zakonników, zdążających do swoich cel na spoczynek. Była to wigilia do Wszystkich Świętych; czcigodni słudzy Boży byli dłużej jak zwykle zatrudnieni w konfesyonałach, do których przy podobnych uroczystościach wielkie mnóstwo ludzi się cisnęło, aby złożyć ciężar sumienia u stóp ojców duchownych. Na mocy szczególniejszego przywileju, bramy opactwa przed każdem większem świętem aż do dziewiątej godziny wieczorem zostawały otwarte; chciano przez to dać sposobność spowiadania się tym, którzy mogli przyjść dopiero po ukończeniu dziennej pracy. Tego wieczora już o godzinie ósmej było wszystko ukończone. Spowiednicy opuszczali jeden po drugim konfesyonały; jeden z nich tylko pozostał jeszcze w kościele. Był nim ojciec Augustyn Orlandini, Włoch, którego przed kilku laty z Rzymu do Mont-Blandin przysłano.

Konfesyonał ojca Orlandiniego stał w kącie ciemnej kaplicy, która będąc poświęcona pamiątce śmierci i męki Zbawiciela, posiadała obraz przedstawiający go na krzyżu. Światła w kaplicy nie było; przewodniczką dla zwiedzających kościół wieczorem, była tylko jedyna lampa, która wisiała w presbyteryum świątyni. Dwakroć już zakrystyan, pobrzękując pękiem kluczy, dawał do zrozumienia pobożnemu kapłanowi, że dzisiaj bez wątpienia nikt więcej nie przyjdzie.

— Pozwól mi zostać jeszcze, mój bracie, odrzekł Włoch. Nie możesz wiedzieć, czy nie nadejdzie ktokolwiek, co pracą lub przygotowaniami do święta wstrzymany, spóźnił się. W każdym razie przepędzę tu jeszcze czas jakiś na rozmyślaniu; a ty daj baczność, aby drzwi kościoła nie zamknięto przed uderzeniem dziewiątej.

Zakrystyan odszedł po tem łagodnem napomnieniu, a zakonnik pogrążył się rzeczywiście w rozmyślaniu. Samotność, milczenie, ponurość świętego miejsca, połączone ze wspomnieniami licznych ułomności ludzkich, z któremi w imię Boga w jego przybytku grzeszni zapoznają spowiednika, wzbudziły morze uczuć w duszy Orlandiniego, i od czasu wzdychał ten pobożny kapłan do Boga o przebaczenie błędów, których się może dopuścił podczas wypełniania swego z tak wielką odpowiedzialnością połączonego urzędu, jako też i o łaskę okazywania swoim penitentom ojcowskiej łagodności i chrześciańskiej miłości, których przykład dał Bozki Zbawiciel.

Zatopiony w myślach nie słyszał, że drzwi domu Bożego się otworzyły i znów szybko się przymknęły. Przez niejakiś czas ktoś chwiejnemi kroki błądził niepewnie i trwożliwie po nawie kościoła. Nagle zwrócił się ku kaplicy śmierci i męki Zbawiciela, jakoby w niej obiecywał sobie znaleźć schronienie. Przytulił się

potem do konfesyonału, nie jako pokutnik, co chce się upokorzyć przed trybunałem Boga, lecz zbieg, który pragnie się ukryć przed pogonią.

Nie będąc na to przygotowanym, że tu o tej godzinie jeszcze ktoś się będzie znajdował, zadrżał nieszczęśliwy, kiedy posłyszał głos spowiednika, który go niespodziane wyrwał z rozmyślania i który teraz twarz swą pełną dobroci i łagodności skłonił ku niemu, aby przyjąć wyznanie jego grzechów.

— Mój ojcze! mój ojcze!... szeptał nieznajomy ze śmiertelnym strachem w głosie, lecz dalej mówić nie mógł.

Spowiednik ukończył modlitwę wstępną, którą błagał nieba o łaskę dla pokutnika.

— A więc, mój synu, rzekł potem czysto po flamandzku, jakoby nie był cudzoziemcem, słucham cię, wyznaj swe grzechy!

— Moje grzechy? zawołał nieznajomy z przerażeniem — moje grzechy?... Nie dla mych grzechów przyszedłem ja tutaj.

— Jakto? a więc nie przyszedłeś tu aby się spowiadać? zapytał kapłan, który teraz dopiero spostrzegł przerażenie przybysza, przebijające się z każdego jego słowa. Czegóż żądasz?

— Mój ojcze! zlituj się nademną! ratuj mnie! Jestem ścigany przez żołnierzy księcia Alby.

— Księcia Alby?

— Tak, czcigodny ojcze, księcia Alby... Ujrzałem drzwi kościoła otwarte, wszedłem i schroniłem się do tego konfesyonału.

— Ukryć się, mój synu?

— Najczcigodniejszy ojcze, ratuj mnie, ratuj mnie! Powiem ci wszystko... mój Boże! okropna wina ciąży na mnie. O gdybyś wiedział...

— Bóg jest sprawiedliwym, ale i miłosiernym, On jeszcze nie odepchnął od siebie żadnego grzesznika, co nie chciał być odepchniętym.

— Czy tak, czcigodny ojcze? Nie masz więc zbrodni, któraby nie znalazła przebaczenia? Ale słyszę hałas, wielebny ojcze... nadchodzą tu... Jestem zgubiony. Ratuj mnie, ratuj!

W rzeczy samej dały się w opactwie słyszeć zgiełk i ciężkie stąpania.

— Bądź spokojnym, odrzekł ojciec Orlandini, pozostań tu w konfesyonale, nikt nie odważy się tego świętego miejsca naruszyć, i jeżeli myślisz, że ulżysz swemu sercu przez szczere wyznanie, to jestem gotów je przyjąć w imię Jezusa Chrystusa, twego miłosiernego Ojca w Niebie.

— Czcigodny Ojcze! nie wiem, czy będę zdolny je uczynić. Już tak wiele czasu upłynęło odkąd... a serce moje nie jest wcale przysposobione.

— Mój synu, Bóg jest pełen miłosierdzia, i chociaż by zbrodnie twoje były liczne jak piasek na brzegu morskim, dość jednej łzy prawdziwej skruchy, aby je zmyć. Mój synu, mówił dalej dobry pasterz głosem do głębi serca przenikającym i pełnym miłości i łagodności, mój synu, w imię Boga, który swym oprawcom, co mu na krzyżu wiszącemu jeszcze urągali, z tego krzyża przebaczył, mów i nie lękaj się niczego. Jezus Chrystus jest morzem miłości.

— A więc chcesz, czcigodny ojcze, chcesz? więc dobrze... jestem...

Grzesznik zamilkł, krople zimnego potu spływały z jego czoła. Słyszał tych, którzy go ścigali. W tej samej chwili bowiem otworzyły się drzwi kościoła i jasne światło rozlało się po nawie. Zbrojni wtargnęli do przybytku w towarzystwie zakonników, którzy trzymali w rękach płonące pochodnie.

— Wątpię, mój panie, rzekł jeden z zakonników do przywódzcy zastępu, wątpię, czy tu znajdziesz, kogo szukasz. Kościół miał właśnie być zamkniętym, i nie spotkamy w nim, prócz może jakiego penitenta, nikogo, jak chyba ojca Orlandiniego.

— Być może, masz Ojciec słuszność, odrzekł oficer, dając znak swym ludziom do posunięcia się naprzód, ale doniesienia, które otrzymaliśmy przed wstępem do klasztoru, są za nadto dokładne, abym mógł wierzyć, iż się mylono. Hrabiego Wilhelma widziano w okolicy, Ojcze przeorze, i jeżeli on ani do kościoła, ani do klasztoru nie wszedł, to zaprawdę nie wiem, gdzieby się mógł ukrywać.

— Jak ci się podoba, rycerzu! Nasz opat pozwolił ci wejść do klasztoru; możesz po nim wszędzie chodzić, będę ci przyświecał.

Oficer podziękował ukłonem, i przeor towarzyszył szukającemu aż do środka kościoła. Tam pozostawił go samemu sobie i przykląkł w jednej z ławek, podczas gdy ludzie księcia Alby pod przewodnictwem swego starszego chodzili po świątyni.

Po kilku chwilach zbliżyli się do kaplicy, gdzie poszukiwany, ze strachu prawie bez du-

szy, przytulił się do spowiednika, jako rozbitek do deski okrętu. Orlandini, przejęty uczuciem głębokiej litości ku nieszczęśliwemu, nie mógł się sam uwolnić od uczucia strachu, gdy krwawe światło pochodni oblało jego konfesyonał.

— Mój Boże, szeptał grzesznik stłumionym głosem, oni nadchodzą, jestem zgubiony, Ojcze, Ojcze, nie opuszczaj mnie!...

Pochodnie oświeciły teraz całą kaplicę; ale konfesyonał, który stał naprzeciw ołtarza, przedstawił się oku tylko z tej strony, która była próżną. Przeciwna, wraz z człowiekiem, który się tam ukrywał, była zakrytą główną częścią konfesyonału, w którym siedział spowiednik. Orlandini wychylił się z niej i zapytał mocnym głosem:

— Kto są ci zuchwali, co śmieli w taki sposób znieważać dom Pana?

Na widok szanownego starca i na głos jego poważny, postąpił oficer o krok naprzód i rzekł uniewinniając się:

— Szukamy zbrodniarza, który uszedł rąk sprawiedliwych jego Apostolskiej królewskiej Mości.

— Pozostaw nas, Panie w spokoju, odrzekł kapłan i nie przeszkadzaj nam w świętych ćwiczeniach.

Oficer nie miał odwagi, by odpowiedzieć cokolwiek. Cofnął się, nie zbliżywszy się do konfesyonału i opuścił kościół ze swymi ludźmi. Wśród łez i westchnień obcy dzięki mu składał:

— Niech ci Bóg nagrodzi, wielebny Ojcze! Jesteś mym duchem opiekuńczym, moim Aniołem wybawicielem; tobie zawdzięczam wolność i życie, i co więcej jeszcze jak to wszystko, tobie będę zawdzięczał spokój sumienia.

— Dziękuj Bogu, mój synu, odparł kapłan; jeźliś na siebie winę jaką ściągnął, to On ci daje czas do zadosyćuczynienia za nią.

— Do zadosyćuczynienia, czcigodny Ojcze? do zadosyćuczynienia za zbrodnię, której ofiara nie znajduje się już między żyjącemi?... A przecież... mógłbym może przynajmniej ulżyć sumieniu.... Lecz jestem nadto pomięszany. Chciałbym ci całą mą przeszłość rozjaśnić; chciałbym ci przynajmniej powiedzieć, kim jest ten nieszczęśliwy, któremuś przed chwilą życie uratował.

Spowiednik pozostał i mówił:

— Chodź do mej celi; tam będziesz mógł otworzyć mi serce.

Milcząc postępowali ku klasztorowi, i gdy przyszli do celi zakonnika, obcy zaczął swe opowiadanie w następny sposób:

— Rodzice moi zajmowali pomiędzy zamożnymi obywatelami Brukseli pierwsze stanowisko. Imię Wladesloo...

— Wladesloo? przerwał spowiednik z niezmiernem wzruszeniem; Wladesloo? I ty jesteś?...

— Synem Adolfa van Opstraten, hrabi Wladesloo, odparł nieznajomy, zdziwiony wzruszeniem zakonnika.

— Wilhelm? zawołał tenże, jakby okropnem wspomnieniem wstrząśnięty. Wilhelm! O sprawiedliwe Nieba!

— Tak się nazywam, takie moje imię, czcigodny Ojcze, odrzekł nieznajomy z wzmagającem się ciągle zadziwieniem i pytał trwożliwie: Miałżebyś znać mnie, wielebny Ojcze? Czy znałeś może mą rodzinę?

— Tak mój synu, odpowiedział głosem żałosnym zakonnik, który już nieco przyszedł do siebie; nazwisko twe obudziło w mem sercu niektóre wspomnienia młodości. Znałem ja twego szanownego ojca.

— Gdybyś tylko mógł zachować jeszcze dla mnie jakieś współczucie, gdy ci wymienię zbrodnię, jaką to zacne imię splamiłem.

— Wyrzuć ze serca bojaźń, mój synu! miłosierdzie Bozkie jest nieograniczonem, i moim obowiązkiem, tylko słodzić gorycz twego żalu i torować ci drogę do zbawienia.

— Dzięki ci, zacny Ojcze, gorące dzięki za twe niebiańskie pociechy. Serce moje od wielu lat było podobne do węgla rozżarzonego, ale twe słowa padają na nie jak rosa orzeźwiająca. O jakże wielką czuję potrzebę, by ci odsłonić rany mego serca, jakkolwiek okropne, abyś mógł do nich przyłożyć twe noże leczące!..

Byłem drugim synem hrabiego Adolfa Wladesloo; starszy mój brat, na mocy prawa starszeństwa, był dziedzicem dóbr i godności naszej rodziny. Filip był pięknym na ciele i duszy, a wszyscy co go znali, kochali go. Z obszernemi wiadomościami łączył szczególniejszą bojaźń Bozką i męztwo nadzwyczajne. Już w pierwszej młodości walczył on przy boku Karola Vgo i dostąpił tego szczęścia, że był ranionym w obronie swego cesarskiego pana. Dla tego był od wszystkich szanowany i czczony, a ojciec nasz, hrabia Wladesloo, wskazywał na

niego przed wszystkimi z dumą, jako na dziedzica swego imienia.

Lecz w łonie rodziny znajdował się ktoś, co śmiertelnie nienawidził tak ogólnie kochanego rycerza. Tym byłem ja. Równie nadęty dumą i zazdrosny, ile mój brat był skromny i wspaniałomyślny, zazdrościłem mu wszystkiego i zgrzytałem zębami, słysząc pochwały, których mu nie szczędzono ze wszystkich stron, i myślałem z wściekłością a goryczą w sercu o wysokich godnościach, które go czekały. Przeklinałem sprawiedliwość losu, który dał wszystko jednemu, tak mocno przezemnie nienawidzonemu, przeklinałem nieszczęście swoje, nie myśląc o tem, że ono pochodziło bardziej z moich złych skłonności i przewrotnej natury, jak rzeczywistego stanu rzeczy. Zanadto dałem się był opętać żądzy zaszczytów i majątku, abym mógł poznać, że różnica stanów i stosunków majątkowych jest roztropnem zrządzeniem Opatrzności ku utrzymaniu społecznego porządku; namiętności moje, których nie starałem się nawet opanować, nie dopuszczały uwagi, że jeżeli co do stanowiska stałem niżej od mego brata, to on także ze swej strony więcej jak jedną osobę miał po nad sobą i że znów tysiące innych mogłyby mi pozazdrościć mego losu, gdyby chcieli byli dopuścić do swoich serc te niecne namiętności, którym ja podlegałem.

Tak upłynęły pierwsze lata mojej młodości w najrozmaitszych męczarniach zazdrości; lecz umiałem kryć te uczucia, aby nie dać poznać całej ich ochydy. Udawałem przed bratem miłość, podczas gdy w sercu żywiłem dla niego nienawiść, która się miała kiedyś skończyć zbrodnią.

Liczyłem dwadzieścia i pięć lat, gdy mi ojciec oznajmił, że zamyśla ożenić swego pierworodnego i że stara się dla niego o rękę córki księcia Brayne. Winszowałem ojcu i bratu tak doskonałego wyboru, ale w sercu przeklinałem zaślubiny, które mi zagrażały odjęciem ostatnich widoków na ojcowski majątek. Możesz sobie wystawić, wielebny Ojcze, co czułem, gdy wkrótce potem ujrzałem list zapieczętowany herbem domu Brayne, i zawierający przyzwolenie na żądanie mego ojca.

Ojciec, matka, brat i ja udaliśmy się do Hagenau, gdzie się znajdowały dobra tego księcia. Przyjęto nas po królewsku, a wspaniałe uroczystości uprzyjemniały nam pobyt na zamku Brayne. Ostatnią i najświetniejszą były zaręczyny księżniczki z moim bratem. Widziałem nieporównane zalety Maryi, widziałem jej niebiańskie cnoty, jej pobożność, łagodny i miły jej charakter, a zazdrość moja zapłonęła dzikim płomieniem.

Ślub naznaczono na dzień niezbyt oddalony i z piekłem w sercu widziałem go już zbliżający się jakby na skrzydłach wichru; nagła śmierć księżnej, matki narzeczonej, odroczyła go na pół roku. Do tej pierwszej zwłoki przyłączyła się i druga, która mnie napełniła tem większą radością, im większy był smutek, w jakim ona pogrążyła mego brata. Cesarz wysłał go w bardzo ważnych sprawach do Ojca świętego. Filip prosił mnie, abym mu towarzyszył. Chętnie przystałem na to, w pewnej nadziei, że znajdę środek dłuższego zatrzymania go we Włoszech, niż zamierzał.

Pożegnaliśmy się z ojcem, matką, jako też z księciem Brayne i jego córką, i puściliśmy się w podróż. Zastaliśmy papieża w Bononii. Filip wywiązał się ze swego polecenia w sposób, który mu zjednał największe pochwały i względy obydwóch stron, tak Papieża jak i Cesarza. Udaliśmy się potem za Ojcem świętym do Rzymu. Tajemnem życzeniem mojem było, aby brata mego Papież zatrzymał przy sobie. Lecz po kilku tygodniach wszystko było załatwione, a Filip zapowiedział mi nasz odjazd. Okropne myśli trawiły mnie. Postanowiłem przeszkodzić powrotowi jego do Flandryi. Nie wiedziałem jednakże jeszcze drogi, na którejbym mógł dojść do celu, bez wzniecenia najmniejszego podejrzenia.

Przypadek, a raczej duch piekieł, wskazał mi ją.

Hrabia Pampelini zaprosił nas był na ucztę do swego letniego mieszkania, które o kilka mil od Rzymu leżało. Nienawiść moja była tak głęboko zakorzenioną, że nie mogłem widzieć brata wesołym, nie zatapiając zarazem w swojem sercu strasznego rozpaczy żądła. Pod pozorem słabości nie przyjąłem zaprosin. Filip udał się sam na tę ucztę. Dwa dni miał tam zabawić. Wieczorem pierwszego z tych dni wracałem z samotnej przechadzki, zatopiony w moich zbrodniczych myślach które mi nie dawały najmniejszej spokojności, gdy nagle napadnięty zostałem na jednej z opustoszałych ulic Rzymu przez dwóch bandytów, co przyłożywszy mi do

piersi puginały, żądali odemnie pieniędzy.

Wśród napadu nie strach, nie bojaźń, o nie! radość, piekielna radość me serce przenikła, a straszna myśl zabłysła mi w mej głowie. Wydobyłem z kieszeni kiesę, wysypałem z niej na dłoń pieniądze i zapytałem ich, czyby mieli chęć jeszcze sto razy więcej zarobić. Oczy ich zaiskrzyły się... Drżę jeszcze teraz na samo wspomnienie tych piekielnych iskier. Mordercy, za pieniądze na wszystko gotowi, zrozumieli mnie. Opisałem im powierzchowność Filipa, kazałem im przysiądz, że tajemnicy dochowają, wskazałem hrabiego Pampeliniego, u którego on się znajduje, kazałem się tak sprawić, aby niespostrzeżenie zniknął z tego świata. Pod tym warunkiem przyrzekłem im w trzy dni po spełnionym czynie, dziesięć tysięcy dukatów wypłacić w kawiarni, którą naznaczyłem. Gdy wszystko ułożonem zostało, powróciłem do domu i położyłem się do łóżka, udając gwałtowną febrę.

Mój służący przywołał lekarza. Moje gwałtowne wzburzenie sprawiło, że uwierzył, iż jestem chory. Nakazał mi spokojność i przepisał mi uśmierzający napój. Następnego dnia pozostałem w łóżku. Obawa, z jaką oczekiwałem wiadomości o spełnieniu przezemnie ułożonego planu, nadawała mi w rzeczy samej cierpiące wejrzenie, i służba, którą przy mnie zostawił, miała o me zdrowie wielką obawę.

Przed wieczorem zatrzymał się przed hotelem powóz. Służący oznajmił przybycie hrabie-Pampelini. Okazywałem ja największą trwogę. Z hrabią przybył także kardynał Kolonna.

Weszli. Na ich widok podniósłem się i zawołałem z obawą, która nie była udaną, ale miała właściwą swą przyczynę:

— O tym czasie i tutaj jesteście, moi Panowie!... Mój brat?! gdzie mój brat?!...

Obadwaj niemo spojrzeli po sobie, i zdawało się, że się nawzajem o radę pytali. Ja okazywałem jeszcze większe wzruszenie.

— Mój brat, mój brat, mój dobry Filip! wołałem, czyniąc zarazem ruch, jakobym z łóżka chciał wyskoczyć, gdzie on jest? co się z nim stało?

— Na Boga, uspokój się, mój panie kochany, odpowiedział kardynał, usłyszysz natychmiast... Smutny wypadek...

— Mój Boże! zawołałem, czy chory?

— Aż nadto, odpowiedział kardynał, i użył tego wstępu, aby mi oznajmić okropne zdarzenie.

Krótko mówiąc, czcigodny ojcze, ku mej okropnej radości dowiedziałem się, że mój nieszczęśliwy brat udał się na przechadzkę do lasku sąsiedniego i ztamtąd już wcale nie powrócił.

Niedaleko od zamku znaleziono kapelusz jego i pas krwią zbroczone. Przetrząśnięto całą okolicę, zaglądnięto w każdy zakątek, wszystko bez najmniejszego skutku. Filip został zamordowany i ciało jego zniknęło. Hrabia Pampelini, który wiedział o mej chorobie, przybył jeszcze tego samego dnia do Rzymu i poprosił kardynała Kolonnę, by mi o tem nieszczęściu doniósł.

Cała policya została rozesłaną, aby wykryć morderców. Ja sam dla pozoru brałem udział w ich ściganiu. Miesiąc upłynął. Nie wątpiono wcale o śmierci brata. Jego Świątobliwość kazała za spokój duszy nieboszczka po wszystkich kościołach msze święte odprawiać. Ja powróciłem do Flandryi.

Papież uwiadomił był już cesarza o nieszczęśliwym końcu jego posła przez umyślnego posłańca, któremu i ja dałem list do mej rodziny. Cesarz tą smutną wiadomością był bardzo poruszony. Wielki ten monarcha udzielił jej własnoręcznem pismem mojemu ojcu. Przerażenie wtrąciło matkę moję do grobu, i jeżeli ten sam los nie spotkał mego ojca, zawdzięczać to należy tylko tęsknocie za mną, która utrzymywała go jeszcze na kraju grobu.

Ja byłem ostatnią nadzieją jego domu. Gdy mnie ujrzał, okrutnego mordercę swego pierworodnego, a mego brata, omdlały padł w moje objęcia. Płakałem wspólnie z nim. Taiłem wyrzuty sumienia, które mnie trapiły. Po kilku tygodniach objawił ojciec swój zamiar ożenienia mnie i powiedział, że udał się z prośbą do księcia Brayne, aby tenże przyrzeczenie, dane dawniej Filipowi, potwierdził na moją korzyść. Opierałem się zaślubieniu narzeczonej mego brata, ale hrabia Wladesloo umiał wszelkie me skrupuły usunąć. Zezwoliłem. Narzeczona mego brata była ku mnie obojętna i zimna. Pragnęła życie przepędzić w żałobie. Ale że była pobożną, uległą i posłuszną, i kochała swego ojca z całego serca, więc przyniosła swe serce w ofierze jego woli i oddała mi rękę. W półtora roku po śmierci Filipa zawarty został nasz związek na zamku księcia, i gdyby nie wyrzu-

ty sumienia, byłbym najszczęśliwszym z ludzi.

Przyjście na świat córki uwieńczyło me życzenia i dało ojcu memu nadzieję, że dom jego nie wygaśnie. Sam on jednakże niebawem się z tym światem rozstał i zostawił mi oprócz dóbr, także nieszczęsny tytuł hrabi Wladesloo, który okupiłem okropną bratobójstwa zbrodnią. Posiadałem więc wszystko, czegom kiedykolwiek pragnął, mimo to ileż mi nie dostawało do zadowolnienia!... nie miałem spokoju, sumienie mi go nie dawało... We dnie dręczyła mnie żądza zaszczytów i sławy, dla których dopięcia tysiączne snułem plany; w nocy widziałem przed sobą mego brata Filipa, który mi swe rany pokazywał i niecną zdradę wyrzucał. Często budziłem się zlany zimnym potem, tak ciężko oddychając, jakbym się ze śmiercią ścierał; żona moja przerażona, badała co mi jest? Biedna Marya, nie przeczuwała nawet, że byłem mordercą tego, któremu pierwej była zaręczoną!

Ani zaspokojenie mej ambicyi, ani wysokie stanowisko na dworze cesarskim, ani osobista życzliwość monarchy nie były w stanie dać mi spokoju duszy. Nawet widok mej małej Aloizy, smutny tylko uśmiech na me usta wywoływał; ach, ona była tak podobną do zamordowanego! Moja droga Marya w cztery lata po ślubie przeniosła się do wieczności; śmierć jej otworzyła mi nowe, niewyczerpane źródło boleści. Marya obdarzyła mnie tylko córką, i ja widziałem się pozbawiony nadziei zostawienia mego imienia, dóbr i godności synowi.

Przejęty do głębi, przeszyty tylu cierpieniami, nie miałem nic, coby mnie pocieszyć mogło, oprócz mej małej Alojzy. Im bardziej rosła, tym więcej była podobną do mego nieszczęśliwego brata. Chętnie miewałem ją około siebie, a przecież widok jej każdą razą żądło wyrzutów coraz głębiej w serce mi zapuszczał. Tak upłynęło lat około dwadzieścia, to w moim pałacu w Brukseli, to w zamku na prowincyi, to znów na dworze cesarza, gdzie urząd podkomorzego pełniłem.

A teraz, czcigodny ojcze, zbliżam się do rozwiązania całej tej historyi. Wśród tych mąk, które mi duszę targały, łudziłem się nadzieją, że przynajmniej po upływie tylu lat moja zbrodnia zostanie tajemnicą na zawsze i wyrzuty mego sumienia będą jedyną karą na ziemi. Lecz nie, Bóg, który umie zbrodniarza dopaść, skoro zechce, zostawił wolny bieg swej pomście. Owi dwaj skrytobójcy, których nająłem do spełnienia zbrodni, zostali schwytani tego roku w Rzymie. Między innemi wyznali także moję zbrodnią i wymienili me nazwisko. Kardynał-gubernator Rzymu przesłał akta procesu do rządu żuławskiego. (Żuławy — Niederlandy.) To co tam o mnie powiedziano, nie jest popartem żadnemi ważnemi dowodami, i dwadzieścia lat już upłynęło od tej sprawy; bez wątpienia nie dochodzonoby jej nawet, ale mam nieprzyjaciół w radzie księcia Alby i on sam jest mi nieprzychylnym. Dzisiaj został wydany rozkaz mego uwięzienia. Jeden z mych przyjaciół, który zasiada w tajnej radzie księcia, ostrzegł mnie i dodał zarazem, że mnie czeka pytka, jeżelibym dobrowolnie przyznać się nie chciał.

Łatwo więc pojmiesz, czcigodny ojcze, mój strach okropny. Przerażony, odurzony, szarpany męczarnią świadomości mej winy, pytałem naprózno samego siebie, co mam począć, jaką drogę obrać, gdy w tem stary sługa donosi mi, że strzelcy Alby ku domowi się zbliżają. Znajdowaliśmy się w Brukseli. On nie wiedział o co mnie oskarżano: ale znana surowość Alby przeciw wszystkim, których miał w podejrzeniu o niewierność dla swego pana króla Filipa II, była dla starca dostateczną, aby go napełnić najwyższą obawą.

Rozkazałem sobie czemprędzej konia osiodłać, powierzyłem wiernemu słudze córkę, i wymknąwszy się przez tylną furtkę ogrodu, puściłem się drogą do Gandawy. Spodziewałem się w tem mieście znaleźć schronienie u przyjaciół. Ale natychmiast puszczono się za mną w pogoń. Ludzie księcia przybyli prawie równocześnie ze mną pod mury tego miasta i zamknęli mi wnijście do niego. Zeskoczyłem z konia, popędziłem go samego ku miastu, zboczyłem w w krzaki Mont-Blandin i wszedłem ukradkiem do opactwa. Reszta wiadomą ci jest, mój czcigodny ojcze. Byłeś wspaniałomyślny i wybawiłeś mnie od nieprzyjaciół. Krwią mego nieszczęśliwego brata zbroczony, chciałbym mą zbrodnią zmyć, chciałbym się sam oddać w ręce sprawiedliwości.... Ale moja córka, moja kochana, cnotliwa córka ma dzielić karę i sromotę niegodnego ojca?... O, niech mi Bóg życie weźmie, ale niech tylko mą Aloizę zachowa!...

Hrabia zamilkł. Jego westchnienia, łzy i jęki były wymownym dowodem żalu za popeł-

niony czyn, jako też i obawy o dziecko.

Ojciec Orlandini, zdawał się dzielić jego boleść. Więcej jak jedna łza zrosiła mu powieki podczas tego opowiadania.

— Mój synu, rzekł nareszcie głosem wzruszonym, mój synu, twoja zbrodnia jest wielką, bardzo wielką, ale miłosierdzie Boga jest jeszcze większe. Twą pokorą i żalem przejednany, będzie on miał dla ciebie miłosierdzie i łaskę, których nie jesteśmy zdolni zmierzyć wszystkiej głębokości. Zaufaj Mu i wierzaj, że także brat twój przebaczyłby ci, gdyby z ust twych wyznanie był słyszał.

Łagodny ton zakonnika i głębokie współczucie, które się przebijało w jego słowach, zdawały się na Wilhelmie głębokie czynić wrażenie. Z pobożnością złożył on ręce i skłonił głowę z ufnością w Panu, która dotąd nieznaną mu była. Potem prosił spowiednika, aby wysłuchał spowiedzi całego jego życia, i złożył pokorne wyznanie wszystkich swoich grzechów. A kiedy usłyszał głos czcigodnego kapłana, jak ten błagał Nieba o miłosierdzie dla niego i wymawiał sakramentalne rozgrzeszenia słowa, nie mógł dłużej ukryć swego wzruszenia. Serce mu biło gwałtownie, chciał mówić, ale słów mu brakło; zakonnik patrzał nań z niewypowiedzianem wzruszeniem.

— Czcigodny Ojcze, zawołał nakoniec, składam los mój w twoje ręce, czyń ze mną co chcesz.

— Na teraz, mój synu, odpowiedział ojciec Orlandini, pozostaw' wszystko woli Boga. On zrządzi jak mu się będzie podobało. Lecz jeżeli przed ludzką sprawiedliwością będę ci mógł pomódz, to bądź przekonanym że nie zaniedbam tego uczynić. Zdaje mi się, że żołnierze Alby odeszli.

— Stokrotne dzięki, czcigodny ojcze! rzekł pojednany pokutownik; więcej słów dla głębokiego wzruszenia z piersi wydobyć nie mógł.

Ojciec Orlandini uchwycił go za rękę i uczuł uścińienie, głęboką wdzięcznością nacechowane. Potem opuścił z swoim pupilem celę i udał się ku bocznym drzwiom, które prowadziły do wnętrza klasztoru. Weszli do krużganku, który otaczał cmentarz klasztorny. Księżyc rozlewał drżące i blade swe światło na ogołocone drzewa, które za każdym jesiennego wiatru powiewem rozsiewały ostatnie liście na milczące, a przecież tak wymowne groby. Wszystko oddychało śmiercią na tem miejscu, które przyjmowało do swego łona na wieczny spoczynek, już od kilku wieków, mieszkańców klasztoru. Uczucia, które ten widok w obydwóch wzniecał, odpowiadały ich usposobieniu; były to uczucia głębokiego smutku i spokojnego podobania się.

Skręcali właśnie na jednym z rogów ganku, gdy drzwi się otworzyły i światło pochodni nagle oblało zakonnika i jego towarzysza. Ostatni wydał okrzyk, a żołnierze księcia Alby, gdyż dla nich właśnie otworzyły się te drzwi, odpowiedzieli nań, poznawszy zbiega. Ucieczka była niepodobną. Hrabia Wladesloo z odwagą stanął przed nimi. Powrót do Boga wzmocnił jego trwożliwe serce.

— W imię jego królewskiej Mości, Filipa II, rzekł dowódzca, hrabio Wladesloo jesteś moim więźniem, proszę o twą szpadę.

— Oto jest, odparł hrabia smutno, ale ze spokojnością i przytomnością umysłu; jestem twoim więźniem, rycerzu Waldstein. Niechaj się dzieje wola Boża!

— Amen, dodał ojciec Orlandini, i potem zwrócony do hrabiego ze wzruszeniem, które daremnie starał się opanować, zapytał się:

— Czy nie masz mi, Panie, nic więcej do powiedzenia?

— Jesteś najlepszym z ludzi, czcigodny ojcze, odpowiedział hrabia, rękę mu podając; twa łagodność wyrwała mnie z rozpaczy; kładę ci jeszcze raz do serca mą sprawę; jeżeli możesz co uczynić dla mej córki, to weź ją pod twą świętą opiekę. O dziecko to moje tylko lękam się, czcigodny ojcze. Czuwaj nad niem, daj mi przyrzeczenie, że je odwiedzisz i będziesz pocieszał.

— Przyrzekam ci, mój synu, że w twej nieobecności będę nad niem czuwał, jak ojciec.

— Mój Boże! dzięki ci, zawołał hrabia; teraz nie obawiam się ani kata, ani rusztowania. Rycerzu, jestem gotów.

— Idź w pokoju, mój synu, rzekł Orlandini, ja cię nigdy nie opuszczę.

Hrabia chciał jeszcze raz kapłanowi podziękować, chciał jeszcze jeden wzrok rzucić na męża, który go wprowadził na drogę życia, ale zakonnik zniknął pomiędzy filarami krużganku. Rycerz obchodził się ze swym więźniem bardzo względnie. Noc już była późna i księżyca rzadkie promienie rozświecały od czasu do cza-

su głęboką ciemność. Pomimo to postanowiono jeszcze tej samej nocy powrócić do Brukseli. Waldstein rozkazał wsiąść hrabiemu do lektyki, pożegnał się z przeorem, opuścił ze swemi ludźmi klasztor i udał się drogą wiodącą do miasta.

W mieście gruchnęła już była wieść o ucieczce hrabiego; wszystkich możnych, którzy dzielili z nim szlachetność rodu i zaszczyty, opanowało przerażenie, kiedy usłyszeli o zbrodni, o którą go posądzano. Ale temu oskarżeniu nie mogli dawać wiary; niespokojność i zamieszanie owej chwili, jako też srogość rządu księcia, nasuwały wszystkim myśl, że polityczna jaka zbrodnia jest ukrytą pod mniemanem bratobójstwem.

W pałacu hrabiego panował głęboki spokój i cisza, nie widać było ani jednego światełka w oknach. Zdawało się, że od wyjazdu pana, wszystko tam wymarło. Służba skupiła się w swojej pustej sali około komina, na którym ogień się palił, i z głębokiem przerażeniem spoglądając po sobie, udzielała sobie nawzajem smutnych pogłosek, które obiegały o hrabim Wilhelmie. Dokładała wszelkiego starania, aby zbadać właściwą jego ucieczki przyczynę. Było to nazajutrz po jego odjeździe. Dowiedzieli się, że go w opactwie św. Piotra w Gandawie uwięziono i do Brukseli przyprowadzono, ale nic jeszcze z onej strasznej historyi ich uszu nie doszło. Wszyscy opłakiwali swego nieszczęśliwego Pana, w którego winę na żaden sposób wierzyć nie mogli, a jeszcze bardziej żałowali swojej młodej pani, hrabianki Aloizy, jednego dziecka hrabiego Wladesloo.

Aloiza swoją serdecznością, pobożnością, łagodnością i ludzkością już dawno zdobyła miłość i poważanie wszystkich. Widziano jej wzruszającą boleść, jej głęboki smutek i wszystkie wewnętrzne męki, gdy się dowiedziała o uwięzieniu ojca. Każdy chciał jej ten gorzki kielich osłodzić, każdy pocieszyć pragnął. Lecz istnieje-ż ludzka pociecha na takie nieszczęście? Tylko w religii mogła ona czerpać siłę; i znalazła jej tam tyle, ile potrzebowała.

Uroczystość Wszystkich Świętych obchodzono ze zwykłą wspaniałością. Hrabianka Aloiza, otoczona swą służbą, była przytomną na nabożeństwie w kościele św. Guduli i zaczerpnęła nowej siły ze słów kaznodziei, który nakreślił porywający obraz szczęścia wybranych w niebie po walkach i smutkach na tej ziemi. Powróciwszy do mieszkania, zamknęła się w domowej kaplicy i tam sam na sam z Bogiem i swoim smutkiem, wylewała serce przed tronem Tego, którego wszechmocne słowo nakazuje spokojność strasznym burzom i morza rozkołysane ucisza.

O godzinie szóstej wieczorem rozległ się głos dzwonów we wszystkich kościołach miasta, ponure ich grobowe dźwięki zapowiadały uroczystość Dnia Zadusznego. Serca mieszkańców pałacu hrabiowskiego okryły się jeszcze głębszą żałobą. Ach! być może, że podobne już za kilka tygodni, za kilku dni powołają ich na obchód pogrzebowy ich pana, hrabiego Wilhelma.

Ponure milczenie, jak spokój przed burzą, ciążyło na zgromadzonych sługach. Nagle dało się słyszeć stukanie do bramy pałacu. Pod nieobecność pana, w nocną porę, i do tego w przeddzień zaduszek, wstrząsnęło ono serca wszystkich. Przerażenie jak elektryczna iskra przebiegło po całem zgromadzeniu. Niemo spoglądano po sobie, żaden nie ruszył się z miejsca, nikt nie śmiał wyjść do sieni. Stukanie powtórzyło się po raz drugi i trzeci. W tem podniósł się marszałek domu, staruszek, który hrabiego chłopięciem jeszcze na swoich rękach piastował i patrzał na dziecinne lata jego brata Filipa, i rzekł do zgromadzonych:

— A więc żaden z was nie ma odwagi, by stukającemu otworzyć, pójdę sam; w moim wieku nie ma się już czego obawiać; zresztą memu państwu już dosyć długo wiernie służyłem, aby się niczem nie dać ustraszyć.

Wziął potem latarnię i wyszedł do sieni tak prędko jak na to pozwalały jego lata. Reszta służby wyczekiwała jego powrotu z bojaźnią. Ciężkie drzwi rozwarły się ze skrzypem i nastała uroczysta cisza. Nagle sędziwy sługa wydał okrzyk, i wszyscy osłupieli z przerażenia. Lecz czy to był krzyk przestrachu, czy radości? Nikt nie mógł tego odgadnąć. Całe zgromadzenie powtrzymawszy oddech słuchało, ażali z pośród głębokiego milczenia nie dojdzie go cichy jaki głos przynajmniej, z któregoby mogło powziąć wyobrażenie o tym dziwnym co dopiero słyszanym krzyku, lub też czy powrót marszałka domu wkrótce nie odsłoni tajemnicy, ciążącej jak zmora na piersiach wszystkich obecnych. Co też ujrzał starzec? Któż mu się okazał? Jakaż ręka mogła być sprawcą tych stuków do drzwi, które ich takiego strachu naba-

wiły? Co się z nim działo od pół godziny, tj. od czasu jak się oddalił? Oto były pytania, które sobie wzajemnie zadawali tonem świadczącym jawnie o strachu, jakiego doznawali. Być może, powtarzali sobie, że stał się nawet ofiarą swej zuchwałości. I komuż zresztą nie mają powstać włosy na głowie, wszakże to dzisiaj wigilia Dnia Zadusznego!

W tem dały się słyszeć ciężkie stąpania. Słychać kroki coraz bliżej; drzwi otwierają się, przerażenie doszło do najwyższego stopnia... każdy mniemał, że ujrzy coś okropnego... był to jednak tylko stary sługa. Bojaźń nie dozwoliła przelęknionym poznać jego chodu. Gdy wszedł do sali, wszystkich oczy utkwiły z ciekawością na jego twarzy. Nie odkryli jednak nic na niej, coby świadczyło o bojaźni. Staruszek zdawał się raczej maską swej zwykłej spokojności osłaniać tajemną jakąś radość; dwie łzy błyszczały mu w oczach, a na obliczu dostrzegać się dawało pewne wzruszenie, które żadną miarą ujść nie może uważnego badacza; snać coś nadzwycznego mu się wydarzyć musiało. Wszyscy też pałali żądzą dowiedzenia się czegoś. Ale rysy sędziwego Józefa tak spoważniały, jego małomówność była zresztą tak znaną, że słudzy naprzód byli przekonani, iż pytaniami nic z niego nie dobędą. Alež i on sam wreszcie zaczyna mówić; jego mina staje się smutniejszą, ręką daje znak milczenia; nigdy jeszcze nie stał w kole sług hrabiego Wladesloo w bardziej poważania godnej postawie.

— Przyjaciele, mówił staruszek wolno i poważnie, większa część z was już oddawna znajduje się w służbie tego szlachetnego domu, i wszyscy wiecie, o jaką zbrodnię nasz pan jest oskarżonym. Jego proces dziś jeszcze rozpocznie się i długo nie potrwa. W tej chwili dowiedziałem się, że książę Alba pojutrze każe go stawić przed sąd swój, aby się uniewinnił z oskarżeń które wzniesiono przeciw niemu. Winny lub niewinny, hrabia Wilhelm jest naszym dobroczyńcą. Pamiętamy jeszcze wszyscy, jaką łagodnością, z jaką dobrocią on się z nami obchodził, odkąd zostajemy w jego służbie. Wdzięczność i miłość zobowiązują nas do uczynienia dla niego wszystkiego, co jest w naszej mocy; a ponieważ w obecnych smutnych okolicznościach nic innego nam nie pozostaje, jak za niego się modlić, więc błagajmy nieba o miłosierdzie i łaskę dla niego, aby był uniewinniony przez swoich sędziów. Oby Bóg raczył nam wrócić naszego pana i być pocieszycielem dla naszej hrabianki Aloizy, która jest dla wszystkich tak dobrą, łaskawą i miłosierną panią!

Po tych prostych, ale przejmujących słowach łzy popłynęły z ócz wszystkich i cała służba rzuciła się na kolana około starca. Tenże czytał litanię do Matki miłosierdzia i do Wszystkich Świętych na intencyę hrabiego Wladesloo, i wszyscy odpowiadali mu w głębokiej pobożności, z równą przytomnością umysłu, jak donośnym głosem; przerażenie i bojaźń, które krępowały ich tak długo, ustąpiły, nie zostawując śladu.

(Dokończenie nastąpi.)

TANIE LECZENIE DOMOWE ROZMAITYCH CHORÓB

(Ciąg dalszy.)

Sposób robienia tynktury anodyna,
która używa się tylko w gwałtownych boleściach brzuchu lub w cholerze.

Weźmij z apteki opium 1 uncyę, pokraj drobno i włóż do małej flaszeczki, przydawszy Castoreum ½ uncyi, robno pokrajanego, i cynamonu przedniego 1 uncyę, także zdrobnionego, tudzież szafranu dwa skrupuły i kanfory tyleż. — Wlej na to araku dobrego kwaterkę, zamięszaj, niech stoi przez 5 dni co dzień mięszając, potem przecedź przez płat, a wycisnąwszy schowaj.

Ten likwor służy nader skutecznie na wszelkie gwałtowne boleści w brzuchu, które niebawem uśmierza; ztąd i w czasie cholery jest niezawodnym ratunkiem, używając przy tem herbaty miętowej lub z rumianku.

Służy nader skutecznie na poty, pijąc zarazem herbatę z kwiatu brzozowego; stolec lub wymioty zatrzymuje; sen sprowadza.

Daje się naraz po 12 do 15 kropli na cukrze, lub w ciepłej kawie, a nie powtarza się nigdy, bo bywają przypadki, że w drugą noc jeszcze są znowu wielkie poty.

(Dalszy ciąg nastąpi.)